GŁOS NARODU

A. P. CZECHOW.

BEZ TYTUŁU.

W V. wieku, tak samo jak i teraz, słońce wstawało co rano i co wieczór kładło się spać. Rano, kiedy pierwsze promienie całowały się z rosą, ziemia odżywała, powietrze drgało dźwiękami radości, zachwytu i nadziei, wieczorem zaś zalegała cisza i ziemia tonęła w gęstym mroku. Dzień podoby był do dnia, noc do nocy. Od czasu do czasu nadciągała chmura i huczał gniewnie grom, lub też spadała z nieba gwiazda zbyt zapatrzona na ziemię. Czasem przybiegał blady mnich i opowiadał braciom klasztornym, że widział niedaleko monasteru tygrysa i na tem koniec, gdyż potem znowu dzień podobny bywał do dnia i noc do nocy.

Bracia pracowali i modlili się do Boga, a przeor ich, starzec sędziwy, grał na organach, układał wiersze łacińskie i pisał nuty. Bogobojny ten starzec posiadał niezwykły talent. Grywał na organach tak cudownie, że nawet najstarsi bracia, którym na schyłku życia słuch przytępiał, nie mogli powstrzymać się od łez, gdy z jego celi rozlegały się dźwięki organów. Kiedy zaś mówił o czemkolwiek, choćby najzwyczajniejszem, naprzykład o drzewach, zwierzętach lub morzu, nie można było słuchać słów jego bez uśmiechu lub łez, zdawało się bowiem, że w duszy jego dźwięczą takie same struny jak w organach. Gdy zaś gniewał się, albo też oddawał radości, lub mówił o czemś strasznem i wielkiem, to opanowywało go namiętne uniesienie, do iskrzących ócz cisnęły mu się łzy, twarz płoniła się, głos huczał, jak grom, a bracia słuchając go czuli, że jego natchnienie opanowywuje ich dusze. W owych wspaniałych i podniosłych chwilach władza jego bywała nieograniczoną i gdyby rozkazał swym starcom rzucić się w morze, to wszyscy bez wyjątku pośpieszyliby z uniesieniem spełnić jego wolę. Muzyka jego, głos i wiersze, w których wysławiał Boga, niebo i ziemię, były dla mnichów źródłem nieustannej radości. Zdarzało się, przy jednostajności żywota, że przykrzyły im się drzewa, kwiaty, wiosna, jesień, szum morza, nużący słuch, że stawał im się nawet niemiłym śpiew ptaków, lecz talent starca przeora, podobnie jak chleb, niezbędny im był codziennie.

Mijały lat dziesiątki a ciągle dzień bywał podobny do dnia i noc do nocy. Oprócz dzikiego ptactwa i zwierząt nie widać było koło klasztoru ani jednej żywej istoty. Najbliższa ludzka siedziba znajdowała się bardzo daleko i aby się przedostać do niej z klasztoru lub też z niej do klasztoru trzeba było przebyć sto wiorst drogi przez pustynię. Drogę przez pustynię odważali się przebywać li tylko ludzie, gardzący życiem i wyrzekający go się aby wstąpić do klasztoru, niby do mogiły.

Jakież wobec tego było zdziwienie mnichów, kiedy pewnej nocy zapukał do wrót człowiek, jak się okazało mieszkaniec miasta i najzwyklejszy grzesznik, miłujący życie. Przedewszystkiem, miasto poprosić przeora o błogosławieństwo i pomodlić się człowiek ów zażądał jadła i napoju. Na zapytanie, w jaki sposób dostał się z miasta na pustynią, opowiedział długą historję łowiecką: wyszedł na łowy, wypił za wiele i zabłądził. Na propozycję wstąpienia do klasztoru dla zbawienia duszy, gość odpowiedział uśmiechem i słowami: „Nie nadaję się do waszego towarzystwa.“

Najadłszy się i napiwszy, przyjrzał się

mnichom, którzy mu posługiwali, pokiwał głową i ozwał się z wymówką:

— Żyjecie w bezczynności. Tyle tylko wiecie, że jecie i pijecie. Czyliż to tak zbawia się duszę? Pomyślcie tylko, że gdy wy tu siedzicie sobie w spokoju, jecie, pijecie i marzycie o szczęśliwości, bliźni wasi giną i dostają się do piekieł. Przyjrzyjcież się co dzieje się w mieście! Jedni umierają z głodu, drudzy, nie wiedząc, co robić ze złotem, oddają się rozpuście i giną jak muchy, grzęznące w miodzie. Niemasz w ludziach ani wiary, ani prawdy! Czyjąż rzeczą zbawiać ich? Czyim obowiązkiem nawoływać ich do poprawy? Czyżbym ja miał zajmować się tem, ja, który pijany bywam od rana do wieczora? Czyliż Bóg obdarzył was duchem pokory, sercem miłującem i wiarą po to, abyście siedzieli tutaj wśród czterech ścian nic nie czyniąc?

Słowa pijanego mieszczucha były harde i nieprzystojne, lecz dziwnie jakoś podziałały na przeora. Starzec spojrzał na swych mnichów, pobladł i ozwał się:

— Bracia, zaiste, on mówi prawdę! W samej rzeczy, biedni ludzie przez nieświadomość i słabość giną w niewiarze i grzechu, a my nie ruszamy się z miejsca, jakby nas to nic nie obchodziło. Czemużbym nie miał pójść między nich, aby przypomnieć im o Chrystusie, którego zapomnieli?

Słowa mieszczucha stały się bodźcem dla starca, następnego dnia ujął kostur w rękę, pożegnał braci i udał się do miasta. Bracia zostali bez muzyki, bez przemówień starca i bez wierszów.

Tęsknili przez miesiąc jeden i drugi, lecz starzec nie powracał. Nakoniec, po upływie trzeciego miesiąca dał się słyszeć dobrze znany braciom stuk kostura. Rzucili się na powitanie starca i zasypywali go pytaniami, lecz on zamiast ucieszyć się nimi, zapłakał gorzko i nie wyrzekł ani słowa. Bracia zauważyli, że przeor postarzał bardzo i wychudł; twarz jego była znękana i odbijał się na niej głęboki smutek, kiedy zaś zapłakał — sprawiał wrażenie człowieka, którego skrzywdzono. Bracia poczęli również płakać i ze współczuciem jęli pytać przeora o powód jego łez i smutku rozlanego po jego obliczu, lecz przeor nie odpowiedział ani słówka i zamknął się w swej celi. Przez siedm dni pozostawał w celi, nie jadł i nie pił, nie grał na organach i ciągle płakał. Na pukania do swych drzwi i na usilne prośby mnichów, aby wyszedł do nich i podzielił się z nimi swym smutkiem — przeor odpowiadał głębokiem milczeniem.

Nareszcie wyszedł. Zebrawszy do koła siebie wszystkich mnichów, z twarzą zapłakaną, noszącą ślady smutku i oburzenia, jął sędziwy przeor opowiadać o tem, co przeżył w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Głos jego był spokojny i oczy śmiały się dopóki opisywał podróż swą od klasztoru do miasta. Po drodze, jak mówił, śpiewały mu ptaszki, szemrały strumyki, a w duszy jego budziły się słodkie i świeże nadzieje. Szedł jakoby żołnierz, idący do boju i ufny w zwycięztwo; rozmyślając i układając wiersze oraz hymny posuwał się napród i nie spostrzegł nawet, że podróż się skończyła.

Głos zadrżał mu, oczy zaiskrzyły się i zapałał wielkim gniewem, gdy począł mówić o mieście i jego mieszkańcach. Nie widział nigdy w życiu, nie śmiał nawet wyobrazić sobie tego, co napotkał znalazłszy się w mieście. Tutaj dopiero, po raz pierwszy w życiu, na stare lata, zobaczył i zrozumiał jak potężnym jest szatan, jak powabnem zło, oraz jak słabymi, małodusznymi i nędznymi są ludzie. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, pierwszem domem do jakiego wstąpił, był przybytek rozpusty. Około pół setki ludzi, posiadających wiele pieniędzy, jadło bez miary i piło wino. Upojeni winen, śpiewali pieśni i wygłaszali otwarcie straszne i wstrętne słowa, których nie odważy się wypowiedzieć człowiek, Boga się bojący. Bezgranicznie swobodni, weseli i szczęśliwi nie bali się ani Boga, ani czarta, ani śmierci, lecz mówili i czynili wszystko co im się podobało, szli też tam dokąd gnała ich chuć. Wino czyste, jak bursztyn, lśniące się iskrami złotemi, musiało być prawdopodobnie niezmiernie słodkiem i wonnem, gdyż każdy z pijących uśmiechał się błogo i pragnął pić jeszcze więcej. Na uśmiech człowieka wino odpowiadało także uśmiechem i przy piciu perliło się radośnie, jakby widząc, jaką szatańską rozkosz kryje w swej słodyczy. Starzec, wpadając w coraz większy zapał i płacząc pod wpływem gniewu, opowiadał w dalszym ciągu o tem, co widział. Na stole, wśród biesiadników, mówił przeor, stała pół naga jawnogrzesznica. Trudno wystawić sobie i odnaleść w przyrodzie coś bardziej pięknego i czarującego.

Owa gadzina, młoda, długowłosa, smagła, czarnooka, o grubych wargach, bezwstydna i bezczelna, wyszczerzyła białe swe jako śnieg zęby i uśmiechając się, zdała się mówić: „Patrzajcież jak bezczelną, lecz piękną jestem!“ Jedwab i złotogłów spływały w fałdach z jej ramion, lecz piękno nie chciało ukrywać się pod odzieżą i niby świeża zieleń z pod wiosennej gleby wydobywało się z pod fałdów. Bezczelna niewiasta piła wino, śpiewała pieśni i oddawała się każdemu, kto jej tylko pożądał.

Dalej, potrząsając gniewnie rękoma, starzec opisywał wyścigi konne, walki byków, teatry, pracownie artystów, gdzie malują i lepią z gliny nagie niewiasty. Mówił z przejęciem, pięknie i dźwięcznie, jakby uderzając o niewidzialne struny, a bracia, oniemieli, chciwie i uważnie słuchali jego słów, z oddechem zapartym pod wpływem zachwytu... Opisawszy wszystkie pokusy szatana, piękno zła i czarujący wdzięk wstrętnego ciała niewieściego, starzec przeklął czarta, odwrócił się i zniknął za drzwiami swej celi...

Kiedy następnego rana wyszedł z celi, w klasztorze nie było ani jednego mnicha. Wszyscy podążyli do miasta.

*Tłóm. z ros. G. W.**

JAN ŚWIERK.

Z wycieczki na Śląsk.

(Ciąg dalszy).

Ładna kuchnia, urządzona dostatnio i z zachwycającą czystością, ani w najmniejszej drobnostce nie jest podobna do tych izdebek jakie przywykliśmy widywać wśród ludu galicyjskiego i robotników z pod miast.

W kuchni wita nas pani Reszkowa, kobieta lat średnich o przyjemnej twarzy, ubrana czysto wedle obyczaju miejscowego. Za kuchnią jest duży pokój, a za nim „komnatą" do której nas gospodarz wprowadza. W „komnacie" jest duży krzyż sięgający od powały do posadzki, a na nim wyrzeźbiony Chrystus. Po lewej ręce tej Bożej Męki stoi duża figura Matki Boskiej, po prawej św. Jan ma stanąć, ale jeszcze nie jest sprowadzony. Na dwóch niskich taburetach ustawione kandelabry z kolorowemi świecami i doniczki kwiatów. Komnata ta robi wrażenie kaplicy i pełna jest powagi, więc z zdziwieniem patrzymy na to urządzenie domu, w którem znać i dostatek i ascetyzm religijny.

Na bocznej ścianie w złoconych ramach jest olejny duży obraz Matki Boskiej Bolesnej nader ładnie wykonany, a w kątku, biało zasłane łóżko jedynej córki pp. Reszków. Na prawo, bliżej okna jest kanapka, foteliki i stolik.

— Widzicie nasi goście, jak to p. Reszke urządza sobie mieszkanie — mówi p. Korfanty — pełen wiary i pobożności, jest on najgorętszym patrjotą i dlatego ciężko zapracowany swój grosz włożył w kupno „Górnoślązaka", aby ułatwić nam pracę wśród ludu.

P. Reszke uśmiecha się dobrodusznie, zasadza nas za stołem, gdzie już podano kawę na tacy i filiżanki porcelanowe z złoconemi brzegami. Może się to wyda komu dziwnem, iż nawet na takie drobne szczegóły zwracam uwagę, ale kto tak przywykł widzieć w około tylko biedę i nędzę, ten każdy objaw dostatku i zamiłowania estetycznego chwyta już jako przebłysk weselszej myśli i cieszy się tem, że przecie nie wszędzie tak ciemno i tak ponuro jak u nas. Kawę podają tam czarną, a tylko tyle mleka do zabielania ile go u nas dają do herbaty. Pani Reszke mało mówi, panna jeszcze mniej, chociaż pan Korfanty co chwila ją zagaduje i pyta czyli go na swoje wesele za drużbę zaprosi.

Miło się słucha rozmowy. Korfanty z p. Reszke są jak bracia, mówią sobie ty, snują plany dalszej pracy w „Górnoślązaku" i o przyszłych wyborach na Śląsku rozprawiają.

Czas schodzi szybko. Trzeba już wracać do Katowic. Jedziemy więc „kolejką", a że mrok nocy otulił niebo, wspaniałą łuną jakoby pożaru palą się niebiosa na widnokręgu. Można myśleć, iż istotnie pali się gdzieś daleko, a to z kominów fabrycznych łuna bije daleko i rozlewa się szeroko, aż staje się coraz bledsza i niknie wśród mgieł powstałych z dymów.

W oknach kamienic światła migają. Po piwiarniach siedzą robotnicy przy piwie, a na ulicach mało już ruchu.

— I ja tak siadywałem z nimi przy piwie — mówi p. Korfanty — gawędziłem z nimi długo nie jeden raz, rzucałem słowo po słowie, myśl po myśli, a rzec mogę szczerze, zbudziłem niejednego ze snu duchowego. Znam też i życie górników bardzo dobrze, bo jestem synem górnika z niedalekiej strony, wyszedłem z ludu i dla ludu tego chcę życie poświęcić...

Na drugi dzień rano, po zwiedzeniu kościoła katolickiego, który odnowiony jest wspaniale i wedle najnowszego stylu, poszliśmy do drukarni i redakcji. Z największą przyjemnością przeglądaliśmy listy nadsyłane do redakcji, listy pisane ręką widać niewprawną do pióra i stylem kaleczonem przez germanizmy, ale w których przecie znać serce szczere polskie i chęć zwalczania niemieckich wpływów.

Jeden z górników pisze:

„Kuroszpondenzija".

„Odbyło się w niedzielę walne Zebranie ze Swionsku Wzajemnej pomocy i jusz to ze 6 lat na Walne zebranie chodzam, ale tego to jeszcze nie słyszałem co tego roku. Słyszałem jak p. Kalus mowyoł, komu się niepodoba weswiosnku to niech idzie do Wintera. Kochani Kamraci kasyże takiego przewotniconczego my wybrali co nam kazuje iść do socjalismu i z drugi strony powiedział iże robotnik dosyć zarabja, bele iże szanował, to czeba aby my go zeżondu wykluczyli i t. d."

W drugim liście czytamy:

„Wybory Pjyrwejsze a Teras dawni gdy czas przechodził tonam Posłowje się Prsimjejlali ze byśmy ich zaś tak Wybrali, prszed tym nam Świaczyli powjedzieli gdzie jako mowa jak oni nas to Broniom... a Katolik chocias dużo zrobjuł botes jak mogł Walcił, ale umjeściał te Słowa co ci tam Wychwalali swoje tysz Tapferheit i tak było i tak się Welowało na tych to dobrych Posłów. Rodaczy zawołaj my Sasy waszym Sumym zmielcje nas, w Wody Słumym waszym, Zymjo Stręż nami żebyśmy s Cymnoty Powstali, Bo duzo roli jest do uprawy".

Inny znów pisze:

„Widzymy jak szypko się Gornoślozak pomnaża. Ja go abonuje od 1 Marza miał 4500 abonentów, a dziś 4/4 jusz liczy 6000, otosz za Miesionz 1½ Tysionca sie pomnożył. Co panowie majom drukować jaką sztukę teatralną albo żywoty św. pańskich, żeby to wychodziło w zeszytach. Tak mogom sobie czytelnicy dać to oprawić na rozmaite księgi żeby swoim dziatkom

*

dać poznać, że panowie istnieli. Z tego sie jeszcze bardzi Górnoślązak będzie rozwijał“.

W innym znów liście biedny robotnik opowiada:

„Telko w cerwcu beło 76 marek zarobku bo miałem robotę akortowom, bo te telko ten jeden numer na całe kopalni, a gdzie inzesy 2,45 m. a to numer które mame od worka 9½ fenika to jodeme 9 nas cziskacze na 260 wosów 200 metrow daleko sgore hamujce na 1 n. kolko, a gde to przybendzie nadgornik F... przezewa i przeklina ile mu sie podoba, stegar tak samo czeni snami a me tak strapieni. Mam Dziołhy z dwuch Hłopow i t. d.“

Z dnia 10/8 znów jakiś robotnik pisze:

„Dlaczego to nima rzadnyj zmianki w naszym Górnoślązaku o mojem liście com Pisał z wielkom u ciechąm i ukontentowaniem, bom się z podziywał że będzie to dla Czytelnikow nieco potszebne, a tu nima i nima rzadnyi spominki w rzadnym nómeże, tak się pytam co zapszicyna? Czy nie był ten list praktyczny do druku, czy on miał wielkie błędy, a na ostatku myśle sobie że on może nie był a ni do pszeczytania godny. Jest tyrz i co prawda że tach ręka cięszka, to nie jest do pióra tylko do cięszkiej roboty, osobliwie my biedni Polscy robotniczy bo o tym bych tysz miał bardzo wiele do pisania. Musze tu nadmienić że te trzi ważne sprawy o któryeh tu jest spominka były takie: Piyrwsze o p. Letorze, druga o p. Siekaczu, a ta tszecia jest najwarzniejsza o której to czytamy w Nómeże 174-tym że Komu się niepodoba we związku niech idzie do Wintera i t. d.“



Modrzejewska i Kamiński w sztuce Scribego „Walka kobiet“.

W wielu listach znachodziliśmy prośby czytelników o ilustracje w gazecie, o powieści historyczne i o religijne artykuły.

Niestety, wiemy dobrze, iż ilustracje kosztują, a redakcje ilustrowanych pism niechcą poży-

czać bezpłatnie tych skarbów dla ludowych gazet. Szkoda przecież wielka, iż tak jest.

Rozumie i p. Korfanty iż wiele rzeczy przyczynić by się mogło do podniesienia pisma i zachęcenia w czytaniu, ale koniecznie na to potrzeba poparcia ze strony prasy i literatów.

— Ciężko przebijamy się przez rozliczne mury przeszkód, a nawet o tyle nie mamy pomocy ze strony starszych redaktorów, iż niechcą nam w zamian przesyłać swoich pism i musimy opłacać dzienniki galicyjskie lub warszawskie.

Długo siedzieliśmy przy gawędzie nader poważnej, a coraz smętniejsze myśli snuły się jak mroki wieczorne. Źle jest i bardzo źle, ale mało o tem chce wiedzieć i myśleć.

(C. d. n.)

Anna K.

Poeta przed sądem.

(Humoreska.)

(Dokończenie).

Kraków 1902 r.

Wtargnięcie niewzywanego świadka stało się tak szybko, że nawet sam poeta opamiętać się nie mógł — ale Pan tylko spojrzał na anioły — (te co urząd stójkowych u wrót niebieskich pełniły) i za chwilę już, jakby gromem porażonego nagle, rezonera nie było ani śladu.

Eleganta zaś zapytał na poetę wskazując: „Co masz temu człowiekowi do zarzucenia?“

Elegant skrzywił się pogardliwie i rzekł tylko: „Znudził mnie Sędzio Najwyższy!“

Na bladą twarz poety wystąpiły rumieńce jak gdyby mu kto z obu stron — wymierzył policzek.

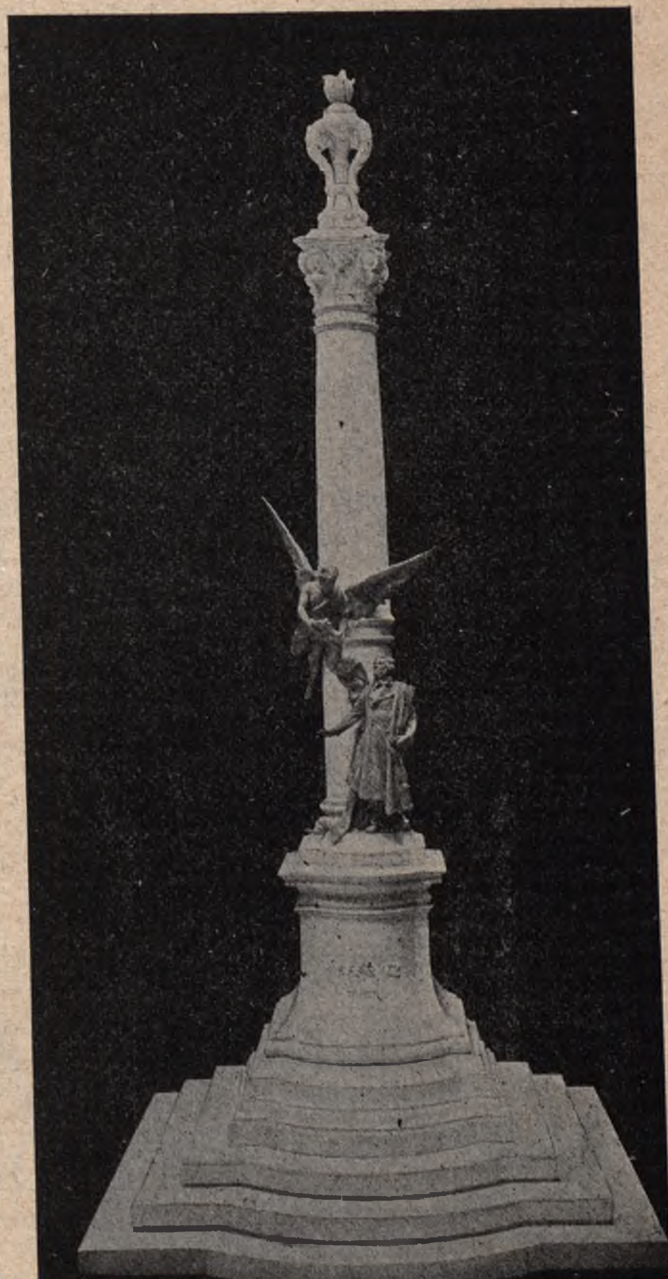
A młodzieniec widząc iż oskarżenie to nie zdaje się robić wrażenia na Sędzi, zdziwiony zawołał: „alboż to mała rzecz!“ przytem omal, że się na pięcie nie wykręcił, ledwie go wzrok surowy aniołów pohamował.

Pokorniej już ciągnął dalej: „A przytem o grzech gniewu mnie przyprawiał, tak jak i mego dziadka (który tu niedawno badanym był, za co oboje w czyścu pokutujemy) — tylko z wręcz przeciwnych powodów — ile razy mnie te śmieszne bajdy jego, poezją zwane! do ręki wpadały. Po co ludziom oczy mydlić taką blagą, po co — kobietom zwłaszcza — głowy zawracać (na r lekko z paryska grassejował), że potem Bóg wie co sobie o miłości wyobrażają i Bóg wie czego od nas wymagają; i trudno sobie z niemi dać radę, bo o jakiemś zrozumieniu serc paplą i o dusz związku! Poezja jest to zupełnie niepotrzebna rzecz! ja jestem za szczerością zaś te“...

Lecz tu nagle zabrzmiał głos potężny rozgniewanego Stwórcy:

„Dość!“ — a elegancki młodzieniec zmalał się i skurczył odrazu, anioły zaś na znak dany przyleciały do niego i gdzieś go zabrały, a tak chmurne przytem miały twarze że aż straszno mogło się zrobić każdemu kto to widział.

Tylko, że biedny poeta nic nie widział i nic nie słyszał prócz tego jedynego słowa: Poezja jest niepotrzebna!



Kolumna Mickiewicza, pomysłu Popiela, dla Lwowa.

Może ten elegant miał rację — pewno miał! znał przecież świat i ludzi lepiej od niego, marnego wierszoroba!

I nagle fala żalu rozpaczliwego zalała mu serce nad miarę, po brzegi, aż wykrzyknął — tak że Święci wszyscy w niebie zadrżeli.

„Nie zrozumiano mnie! nie zrozumiano mnie!"

Lecz Sędzia Najwyższy nie zwrócił nawet na to uwagi; głosem jak piorun grzmiącym obwieścił na wszystkie cztery krańce świata:

„Iż tylu zgorszył, oburzył, znudził, zmartwił, na sławie uszkodził — a nic dobrego przytem nie zdziałał, owszem światu całemu niepożytecznym był, niech idzie w odmęt piekielny gdzie będzie...

Lecz wyrok ten przerwał nagle krzyk dziewczęcy przeraźliwy: Panie, Panie! z takim jękiem bolu połączony, że aż Sędzia Najwyższy umilkł i w dół spojrzał.

Tam u stóp Jego wiła się w spazmach płaczu owa blada, z iskrzącemi oczyma, dziewczyna — biedny, marny świadek, którego nie zauważywszy nawet wcale Pan pominął. Była to taka odwaga, a raczej zuchwalstwo takie, że aż anioły skrzydłami twarze pozakrywawszy stłumiły oddech w milczeniu.

A dziewczyna wielkim jękiem wciąż wołała: „Panie! Panie! nie karz go! On niewinny! on niepożytecznym nie był, on kochał piękno i mnie kochać piękno nauczył i najsmutniejsze osłodził mi życie i tak poezją swoją wzniósł mnie po nad brudy ziemskie a światowe marności, żem już nic złego popełnić nie śmiała — choć dobra mnie przedtem nikt nie uczył — bo złe to brzydkie! O nie karz go! a raczej jeśli trzeba by ktoś za tę poezję cierpiał — niech ja cierpię! bo gdy on, nie wiedząc o tem, nauczył mnie kochać piękno, jam jego — nie znając — pokochała. Mnie ukarz, mnie rzuć w piekło, tylko mi tam wspomnienia owej poezji nie odbieraj, to już i ogień wieczny łatwo zniosę!

Umilkła, łkając cichutko, a poeta wciąż patrzał na nią jak nieprzytomny, oczom i uszom własnym nie wierząc.

Nie znał tej dziewczyny — nie widział jej nigdy w życiu! chociaż prawdę powiedziawszy, nawet gdyby był widział nie byłby zapamiętał — taka była strasznie chuda! Stwórca zaś słuchał w milczeniu i rzecz niewidziana dotąd — uśmiech zjawił się na jego potężnem, światy wypełniającem obliczu. Zniżył wzrok swój na leżącą Mu u stóp dziewczynę, a głos jego brzmiał teraz bardzo łagodnie:

„Iżeś go tak ukochała za poezje jego, przez miłość twoją odpuszcza mu się ta poezja — że zaś po za tem sprawiedliwy to był człowiek nieście go w niebo! Anioły, nie czekając dłużej, radości pełne uchwyciły znów pod skrzydła całkiem już zawstydzonego poetę.

Lecz ten się nagle otrząsnął, z pod piór aniołom wyrwał i do Bożych stóp przypadł: „Panie! pozwól niech i ta dziewczyna idzie ze mną, ona jedna mnie zrozumiała!"

„Niech idzie!" rzekł Pan.

Więc wpuszczono ich oboje do nieba. Dziewczyna okrutnie nawet wyładniała przez tę króciuchną chwilę, ale biedny poeta był tak strasznie wciąż zawstydzony swoją poezją, iż jak się schował w niebie za jej złotem, w lilje i róże przybranem krzesełkiem, tak przesiedział cichutko wieczność całą.

. . . .

Pewno by tak było — lecz nie przesiedział, gdyż się zbudził nagle w źle opalonym pokoiku, nad szukaniem jakiegoś rzadkiego a wytwornego rymu — zasnąwszy.

Ale, nie ma głupich! już od snu owego marnego wiersza nie śmiał napisać. — Dość się przez nie najadł wstydu i strachu!

Anna K.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Bo niema go w artykule.

— Czy coś jeszcze zwróciło pańską uwagę, panie Holmes? — pytał sir Henryk.

— Dostrzegam parę wskazówek, choć starano się zatrzeć wszelkie ślady. Adres wypisany literami drukowanemi ręką niewprawną, ale skądinąd *Times* jest czytywany przez ludzi inteligentnych. Wyprowadzam stąd wniosek, że autorem anonimu jest człowiek wykształcony, który chce uchodzić za nieuka; sam fakt, że ukrywa swe pismo, dowodzi, że pan znasz, lub że mógłbyś poznać to pismo. Dalej: słowa nie są naklejone w prostej linii; i tak, naprzykład, *życie* nie jest na swojem miejscu właściwem. To świadczy o niedbałości lub o wzruszeniu. Przypuszczam raczej to ostatnie. Korespondent śpieszył się widocznie... ale dlaczego? Wiedział, że list, wrzucony wieczorem, choćby najpóźniej, dojdzie rąk sir Henryka nazajutrz przed jego wyjściem z hotelu. Czyżby ów nieznajomy bał się, że mu przerwą robotę?

— Wkraczamy teraz w dziedzinę domysłów — wtrącił doktor Mortimer.

— Powiedz pan raczej, że na pole prawdopodobieństw. Może to pan nazwać domysłem, ale ja jestem pewien, że adres został skreślony w hotelu.

— Skąd pan to wie?

— Jeżeli panowie przyjrzycie mu się dokładnie, to zmiarkujecie, że piszący miał kłopot z piórem i atramentem. Pióro pryskało dwa razy w jednem słowie, i wyschło trzy razy przy wypisywaniu tak krótkiego adresu, co dowodzi, że było bardzo mało atramentu w kałamarzu. Otóż w domu prywatnym rzadko się zdarza, aby atrament wysechł i żeby pióro było w tak złym stanie. Ale wiadomo, czem są pióra i kałamarze hotelowe. Sądzę, że badając kałamarze w hotelach w pobliżu Charing Cross, znajdziemy wycięty numer *Timesa* i zdołamy odszukać osobę, która ten list przesłała.

Obejrzał starannie papier, na którym były przyklejone słowa, ale nie mógł dojrzeć nic osobliwego.

— Czy zdarzyło się panu co jeszcze od chwili, gdyś pan przybył do Londynu? — spytał sir Henryka.

— Nic zgoła.

— Czy nie zauważyłeś pan, że pana śledzą?

— Nie. Któżby miał ochotę mnie śledzić? Nikt mnie tu nie zna.

— Czy nie miał pan jakiej niespodzianki?

— Żadnej. Chyba tę tylko, że mi zginął jeden but.

— Zginął panu but? A to w jaki sposób?

— Znajdziesz go pan zapewne po powrocie do hotelu. Nie warto trudzić pana Holmes takiemi drobiazgami — przerwał mu doktor Mortimer.

— Przepraszam; to nie jest drobiazg — zaprzeczył detektyw. — Jakże to było?

— Wystawiłem na korytarz oba buty do czyszczenia. Nazajutrz był tylko jeden. Posługacz nie wiedział, co się stało z drugim. Kupiłem te buty wczoraj i nie miałem ich wcale na nogach.

— Jeżeli ich pan nie nosiłeś, czemu je dawałeś do czyszczenia?

— Buty przechodziły przez tyle rąk w sklepie, że potrzebują czyszczenia.

— A zatem wczoraj, po przyjeździe do Londynu, robiłeś pan sprawunki?

— Robiłem ich dużo. Towarzyszył mi doktor Mortimer. Bo to muszę panu wyznać, że, pędząc życie swobodne, na świeżem powietrzu, zaniedbałem się trochę, a trzeba było przygotować się do odegrania roli pana licznych włości. Pomiędzy innemi kupiłem te żółte buty, zapłaciłem za nie sześć szylingów. Ale ukradli mi jeden, zanim je włożyłem na nogi.

— To dziwne. Na co może się zdać jeden but? — zastanawiał się Sherlock Holmes.

— A teraz panowie — rzekł baronet — czekam na spełnienie obietnicy. Chciałbym się dowiedzieć o tem, co ukrywaliście przedemną.

— Pańskie żądanie jest słuszne — odparł Holmes. — Doktorze Mortimer, sądzę, że masz obowiązek opowiedzieć sir Henrykowi to, coś nam opowiadał.

Otrzymawszy taką zachętę, lekarz wyjął papiery z kieszeni i przedstawił całą sprawę nowemu baronetowi.

Sir Henryk Baskerville słuchał uważnie, przerywając od czasu do czasu okrzykiem zdziwienia.

— Ha! widzę, żem otrzymał spadek, do którego przywiązana jest jakaś zemsta — rzekł wreszcie, gdy opowiadanie dobiegło końca. — Ma się rozumieć, słyszałem o owym psie od czasów niepamiętnych, jeszcze z ust moich nianiek. Dotychczas jednak nie przywiązywałem wagi do tej legendy. Teraz widzę, że śmierci mojego stryja towarzyszyły istotnie okoliczności tajemnicze. Panowie sami jeszcze nie wiecie, czy ta sprawa wchodzi w zakres działania policjantów, czy też pastorów. A w dodatku dostaję ów list zagadkowy...

— Widać z niego, że ktoś śledzi łąkę i przyległe do niej pustkowia i trzęsawiska — rzekł doktor Mortimer.

— I że ktoś jest dla pana źle usposobionym, bo inaczej druga osoba nie miałaby powodu ostrzegać go o niebezpieczeństwie.

— A może, dla wiadomych im przyczyn, chcą oddalić stąd sir Henryka.

— I to jest możliwem, i wdzięczny jestem panu, doktorze Mortimer, że mnie tę myśl poddałeś. Obecnie chodzi o to, czy sir Henryk ma, czy też nie ma wyruszyć do Baskerville Hall?

— Czemużby nie miał?

— Zdaje się, że panu tam grozi niebezpieczeństwo.

— Czy mówisz pan o niebezpieczeństwie ze strony ludzi, czy też ze srony czworonożnego wroga Baskervillów?

— Nasze badania to wykryją.

— Bądź co bądź, jestem zdecydowany. Niema w piekle takiego szatana, ani na ziemi takiego człowieka, którýby mi przeszkodził zamieszkać w domu moich przodków.

Przy tych słowach sir Henryk brwi zmarszczył, z oczu posypały mu się iskry. Widocznie śmiały duch Baskervillów nie wygasł w ostatnim potomku rodu.

— Teraz — mówił dalej — muszę zastanowić się nad tem, com się dowiedział. Chciałbym mieć godzinkę czasu do namysłu. Jest wpół do pierwszej. Wracam do hotelu. Możebyście panowie przyszli tam do mnie na śniadanie o drugiej? Wówczas będę mógł powiedzieć, co o tem wszystkiem myślę.

— Dobrze. Stawimy się na oznaczoną godzinę.

— A zatem dowidzenia.

Po wyjściu naszych gości, Holmes zerwał się i zawołał:

— Watson, bierz kapelusz i laskę. Niema chwili czasu do stracenia.

Wybiegł z pokoju w szlafroku; w minutę potem ukazał się w surducie. Zbiegliśmy ze schodów. Na ulicy zobaczyliśmy sir Henryka i doktora Mortimer o paręset metrów przed sobą. Szli w kierunku Oxford street.

— Czy mam ich dogonić i zatrzymać? — spytałem.

— Broń Boże! — odparł. — Twoje towarzystwo wystarcza mi najzupełniej. Ci panowie dobrze robią, że idą się przejść. Dzień ładny.

Szedł krokiem przyśpieszonym, aż dopóki przestrzeń pomiędzy nami a tamtymi nie zmniejszyła się o połowę; następnie, trzymając się wciąż o sto łokci od nich, szedł za niemi przez całą Oxford Street aż do Regent Street. Nasi przyjaciele zatrzymali się raz przed wystawą sklepową. Holmes stanął także. Po chwili wydał cichy okrzyk zadowolnienia. Spojrzałem w kierunku jego wzroku i zobaczyłem, że dorożka z siedzącym w niej mężczyzną, która zatrzymała się po drugiej stronie ulicy, jedzie znowu dalej.

— Chodźmy, Watson. Trzeba mu się przyjrzeć.

Dostrzegłem czarną, puszystą brodę i oczy, świdrujące nas po przez szybę dorożki. W tejże chwili podniosło się okienko w pudle, nieznajomy rzucił parę słów woźnicy i dorożka pomknęła szybko w stronę Regent Stret.

Holmes obejrzał się za drugą, ale nie było żadnej niezajętej. Popędził pieszo, ale dorożka jechała tak szybko, że niepodobna było jej dogonić. Niebawem zniknęła nam z oczu.

— Tam do kata! — zaklął mój przyjaciel. — Tośmy się urządzili! Nie do darowania!..

— Kto to był? — spytałem.

— Nie mam pojęcia.

— Zapewne szpieg.

— Z tego, com słyszał od Baskervilla, przypuszczam, że od chwili jego przybycia do Londynu ktoś go śledzi, bo inaczej, skądby wiedziano tak szybko, że stanął w hotelu Northumberland? A jeżeli go śledzili w pierwszym dniu pobytu, niewątpliwie będą śledzić dalej. Zauważyłeś zapewne, że podczas gdy doktor Mortimer czytał, wyglądałem dwukrotnie przez okno.

— Spostrzegłem to.

— Otóż patrzyłem, czy nikt nie stoi po przeciwnej stronie ulicy; ale nie było nikogo. Mam do czynienia z przebiegłym lisem, a choć dotychczas nie mogę zmiarkować, czy ów nieznajomy pragnie zguby sir Henryka, czy też chce go przed niebezpieczeństwem uchronić, czuję, że trzeba się z nim liczyć. Po wyjściu sir Baskerville'a wybiegłem co tchu, aby zobaczyć jego cień. Ale ten człowiek wsiadł do dorożki, sądząc, że w ten sposób nie zwróci na siebie uwagi.

— Oddaje go to na łaskę i niełaskę dorożkarza. Szkoda, że nie dostrzegliśmy numeru — zauważył Watson.

— Mój drogi, czyż sądzisz, że mogłem przeoczyć tak ważny szczegół? Zapamiętałem numer dorożki... 2704. Ale tymczasem na nic się to nie zda. Zrobiłem wielkie głupstwo... Zamiast śledzić dorożkę z przodu, trzeba było zawrócić się i wsiąść do pierwszej lepszej, znajdującej się z tyłu. W ten sposób moglibyśmy jechać za nią, albo kazać się zawieźć wprost do Northumberland Hotel i tam czekać. Zbytnia gorliwość była wielkim błędem. Nasz przeciwnk nie omieszkał z niego skorzystać.

Szliśmy powoli przez Regent Street. Doktor Mortimer i jego towarzysz oddawna już zniknęli nam z oczu.

— Nie warto ich śledzić — rzekł Holmes. — Tamten już umknął i nie pojawi się zapewne. Trzeba korzystać z tych nici, które trzymamy w ręku. Czy zapamiętałeś twarz nieznajomego?

— Zapamiętałem tylko brodę.

— I ja także; wyprowadzam stąd wniosek, że była przyprawiona. Wejdźmy tutaj.

Weszliśmy do hotelu. Zarządzający przyjął Holmesa z wielką radością.

— Jak widzę, pamiętasz, Wilson, drobną przysługę, którą miałem sposobność ci wyświadczyć, rzekł mój przyjaciel.

— Nie zapomnę jej nigdy. Uratowałeś mi pan honor i życie.

— Przesadzasz, mój drogi. Wszak macie tu posługacza nazwiskiem Cartridge, który wykazał dużo sprytu podczas śledztwa.

— Tak; jest jeszcze u nas.

— Czy mógłbyś zadzwonić na niego? Dziękuję. A chciałbym też zmienić pięciofuntowy banknot.

W sieni ukazał się chłopak czternastoletni, zwinny, wesoły i rozgarnięty. Stanął przed detektywem w postawie pełnej uszanowania.

— Proszę o spis hotelów. Dziękuję. Patrz, Cartrigde: oto nazwiska dwudziestu trzech hotelów w pobliżu Charing Cross. Widzisz?

— Tak, panie.

— Zwiedzisz każdy z nich po kolei.

— Dobrze, panie.

— Zaczniesz od dania szylinga portjerowi. Oto masz dwadzieścia trzy szylingi.

— Dobrze, panie.

— Będziesz mówił, że potrzebne ci są gazety wczorajsze, że szukasz ważnego ogłoszenia, które miało być umieszczone w jednej z nich, ale nie wiesz — w której.

— Rozumiem, panie.

— W istocie będziesz szukał numeru *Timesa,* w którym kilka słów zostało wyciętych nożyczkami. Oto jest jeden egzemplarz. Na tej stronicy. Czy poznasz ją?

— Poznam. (C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku